

A man with a beard and short hair, wearing a dark suit jacket over a dark shirt, is shown from the chest up. He is looking off to the right with a serious expression. The background is dark and out of focus, with some purple and blue light effects.

NIE TYM RAZEM, PANIE REID

On zawsze zdobywa to.
CZEGO PRAGNIE.
A teraz chce czegoś.
CO NALEŻY DO NIEJ.

Ada Tulińska



Ada Tulińska

NIE
TYM RAZEM,
PANIE
REID



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Joanna Pawłowska
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska
Korekta: Katarzyna Bury
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © opolja / Stock.Adobe.com
Wyklejka: © ecstk22 / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 by Adelina Tulińska

Copyright © 2024, Papierowe Serca an imprint of Wydawnictwo Kobiecte
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8321-916-5

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



Holly

Wchodzę po schodach do metra w tłumie innych spieszących do pracy nowojorczyków. Kiedy patrzę na elektroniczny zegar, moje gardło zaciska się ze zdenerwowania. Jestem spóźniona. Grubo spóźniona. W wysokich szpilkach niełatwo się biega, ale ja uwielbiam wyzwania. A to, tak się składa, prawdziwe wyzwanie dla osoby, która większość swojego życia spędziła w śniegowcach. W dodatku jest mi niemożliwie gorąco. Mimo że mieszkam tu już jakiś czas, moje ciało nie przyzwyczało się do tych temperatur. Wiosna z wynikiem plus dziesięć na termometrze to dla mnie nowość. Musiałam wymienić prawie całą garderobę, kiedy tu przyjechałam. Teraz przerzucam płaszcz przez ramię, bo nie chcę się jeszcze bardziej spocić.

Gnam do bramek, nurkuję dłonią w beżowej torebce w poszukiwaniu karty, ale nie mogę jej odnaleźć. Próbuję szczęścia z przyłożeniem całej torebki do skanera. Papierowe

opakowanie z pachnącymi babeczkami nie ułatwia mi zadania. Niestety ta metoda działa. Niewiele myśląc, opieram się dłońmi o dwa brzegi bramki i przeskakuję przez blokadę.

– Nie tak prędko! – Słyszę obok siebie głos kontrolera biletów. Facet uśmiecha się pod nosem. Mój performance zwrócił uwagę przechodniów.

Wzdycham i podchodzę do niego ze skruszoną miną. Dyśząc jak palaczka z wieloletnim stażem, tłumaczę, że mam bilet w domu, bo codziennie jeżdżę tą trasą do pracy, tylko dzisiaj zapomniałam portfela.

Facet ma to gdzieś. Kręci głową. Jednak jego życzliwa twarz i plakietka z napisem „W czym mogę pomóc? James” sprawiają, że się otwieram.

– Bardzo pana proszę. To mój wielki dzień. Otwarcie galerii po remoncie. Za pół godziny mam spotkanie z artystami. – Przypominam sobie o tajnej broni. Wyciągam w jego kierunku torbę z jedzeniem. – Muffinkę?

Mężczyzna kręci głową. Fakt, że babeczka jest z fasoli, postanawiam przemilczeć.

– Bardzo pana proszę – powtarzam. – W tym miesiącu nic nie zarobiłam, a ceny usług i materiałów poszły w górę.

– Wystarczyło kupić bilet w aplikacji – burczy kontroler i wypisuje mi mandat. Pozostali pasażerowie metra przyglądają mi się z naganą. Jakbym chciała kogoś oszukać. Kiedy mi go wręcza, widząc kwotę, nie umiem powstrzymać jęku.

Jest mi już wszystko jedno. Pędząc do metra, które właśnie podjechało, wpycham kwit do torebki. Jak to zwykle bywa na tej stacji, większość ludzi wsiada, prawie nikt nie wysiada. Z trudem przepycham się do uchwyty. Staram się chronić torebkę z muffinkami własnym ciałem.

– Sto pięćdziesiąt dolarów... – mamroczę z niedowierzaniem, przypominając sobie wysokość mandatu. Zaciskam palce na świstku w torebce.

W końcu wysiadam na stacji Fifth Avenue – Bryant Park. Dalej mamrocząc pod nosem, wydostaję się z tłumu dopiero na ulicy. Ignoruję podejrzliwe spojrzenia innych pasażerów.

Biorę głęboki wdech, próbując się uspokoić i odegnać od siebie negatywną energię. Ruszam żwawym krokiem, powtarzając w duchu pozytywną afirmację: artyści chcą być u ciebie, Holly.

Grzebię w torebce w poszukiwaniu klucza do galerii. Moje dziecię prezentuje się naprawdę cudnie. Parter narożnej kamienicy jest pomalowany na butelkową zieleń. Wielkie okna gwarantują dobre doświetlenie pomieszczeń. Na myśl o tym, że udało mi się osiągnąć wymarzony cel, moją klatkę piersiową zalewa przyjemne ciepło.

Podchodzę do drzwi, ściskając klucz w spoconej dłoni.

Rozglądam się po ulicy, w górę i w dół. Oprócz mobilnego baru kawowego, pędzących do pracy nowojorczyków i mężczyzny z psem nie ma nikogo więcej. Opuszczam ramiona w geście rezygnacji. Artyści widocznie odczekali kwadrans akademicki i poszli.

Zaraz do nich zadzwonię z przeprosinami. Wkładam klucz do zamka i próbuję go przekręcić. To wiekowy mechanizm, który już kilkakrotnie oliwiłam, ale jak widać, niewystarczająco dobrze. Odkładam swoje rzeczy na parapet przy oknie i zaczynam się siłować z klamką i zamkiem jednocześnie.

Przeklinam pod nosem. Oprócz twórców, których zaprosiłam na rano, może przyjść ktoś jeszcze. Na social mediach ogłosiłam dziś dzień otwarty w galerii i czas na networking. O dwunastej ma przyjechać catering.

Klucz zablokował się na amen. Teraz zapieram się kolanem o drzwi i próbuję go wyciągnąć. Wystawiam przy tym język. Niestety nie odnoszę sukcesu, więc ignorując to, że jestem w ołówkowej spódnicy, dość krótkiej zresztą, nachylam się, żeby zajrzeć do dziurki.

– Czy potrzebuje pani pomocy? – Niski atlasowy głos sprawia, że natychmiast się prostuję i uderzam czołem o klamkę. W dodatku pobrzmiwa w nim zagraniczny akcent. Mężczyzna stoi za mną i pewnie przed chwilą miał wspaniały widok na mój wypięty tyłek. Odwracam się powoli, przywołując uśmiech na twarz.

– Zdaje się, że tak – odpowiadam z trudem, bo nieznajomy jest przystojny jak sam diabeł. Nosi ciemny garnitur, który opina jego zgrabną sylwetkę. Na mankiecie śnieżnobiałej koszuli dostrzegam srebrzystą spinkę z inicjałami DR. Wszystko ma idealnie dopasowane, ciemny krawat i wypastowane na błysk brązowe buty. Ale to jego twarz przyciąga wzrok.

Lekko skośne oczy błyszczą pewnością siebie i inteligencją. Są koloru ciepłego brązu przemieszanego z zielenią. Prosty nos, ciemne brwi i pociągła twarz przywołują skojarzenia z przystojnym aktorem filmów akcji. Takim badassem z gnatem, który wchodzi do hali pełnej zbirów, żeby uratować dziecko, i wszystkich pokonuje.

Uśmiecha się szeroko, ukazując rząd równych zębów.

– Przesunie się pani?

Kiwam w odpowiedzi głową i robię mu miejsce. Przechodzi obok, roztaczając wokół cudowny zapach drogiej wody kolońskiej, chwyta w masywną dłoń klucz i zaczyna ciągnąć. Zamek ani drgnie. Mężczyzna posyła mi wyluzowane

spojrzenie i próbuje ponownie. Poradziłby sobie z halą bandziorów, na pewno poradzi sobie z głupim kluczem.

Opieram się o drewnianą elewację i przyglądam mu się dyskretnie. Jest fantastycznie zbudowany. Na bank chodzi na siłownię. Obserwuję linię jego żuchwy z meszkiem zarostu. Widzę dwa pieprzyki, które uznają za urocze. Włosy nad czołem zaczesał do tyłu na żel. Mimo że jest naprawdę bardzo przystojny, coś w jego postawie mnie odpycha. Jakby mój szósty zmysł podpowiadał, żeby trzymać się od niego z daleka. Jego palce drżą, kiedy próbuje wyjąć klucz. Wygląda na to, że nie dostanę się szybko do środka.

– To nic – mówię po kilku minutach. – Zadzwońię po ślusarza.

Chyba weszłam mu na ambicję, bo kręci głową, mamrocząc coś o złośliwości przedmiotów martwych. Jeden kosmyk uciekł z jego idealnej fryzury, nadając mu wygląd sfrustrowanego.

– Dziękuję za pomoc – dodaję, wyciągając telefon z torebki.

Mężczyzna napina mięśnie i w końcu ze stęknieniem wyjmuję klucz. Przygląda mu się z zaniepokojoną miną. Okazuje się, że większa część została w środku.

Wypuszczam powietrze, próbując zapanować nad emocjami.

– Proszę się nie przejmować – mówię pojednawczo, chociaż sama zaczynam być epicko wkurwiona.

– Co tu w ogóle jest? – pyta, mrużąc oczy, by odczytać nazwę z szyldu. Bryant Art Gallery.

– Galeria sztuki – odpowiadam.

Przygląda się wnętrzu przez szybę. Zapewne zwraca uwagę na puste ściany. Ja w tym czasie wyszukuję w internecie numer ślusarza i go wybieram. Odpowiada mi sygnał zajętości.

– Nieczynna – zauważa.

– Och, naprawdę? – Uśmiecham się kwaśno, na co posyła mi przeszywające spojrzenie.

Próbuję dodzwonić się do kolejnego technika. Odbiera, ale niestety może przyjechać dopiero za kilka godzin. Dziękuję mu uprzejmie. Dwa kolejne numery są poza zasięgiem.

Siadam na schodach pożarowych i wzdycham. Mężczyzna w garniaku nadal stoi z kawałkiem klucza obok drzwi. Wyciągam w jego kierunku torebkę z muffinkami.

– Nie jadam słodczy – mruczy.

Wzruszam ramionami i wgryzam się w jedną.

– Może niech pani zadzwoni do zarządcy budynku – sugeruje.

– Obawiam się, że zarządca budynku ma ciekawsze rzeczy do roboty niż naprawianie zamków.

– To jego praca.

– Wiem. Ale to starszy pan, który wyprzedaje lokale w kamienicy. Nie będę mu zawracać głowy.

Mężczyzna patrzy na budynek z zaciekawieniem.

– Kupiła pani od niego lokal?

Kiwam w odpowiedzi głową. Ta inwestycja pochłonęła prawie cały spadek do babci.

Wtedy pod kamienicę podjeżdża furgonetka z napisem „Catering od Boba”. Patrzę na godzinę na wyświetlaczu, a potem na mężczyznę w czapce z daszkiem, który otwiera bagażnik.

– Jest pan za wcześnie.

Facet wzrusza ramionami i wyjmuje przenośne skrzynki.

– Gdzie to postawić?

Pocieram czoło, zastanawiając się, co robić. Może poprosić przystojniaka, żeby wyważył drzwi? Nadal stoi z kawałkiem klucza w dłoni. To bardzo miłe z jego strony, że tu ze mną czeka.

– Pod drzwiami? – proponuje nieznajomy.

Kiwam głową w odpowiedzi i próbuję dodzwonić się do kolejnego ślusarza. W tym czasie mężczyzna rozkłada przekąski na parapecie.

Porażka. Moje życie to porażka. Naprawdę ciężko pracowałam, żeby spełnić to marzenie, a los rzuca mi pod nogi same kłody.

Boski mężczyzna podchodzi do mnie, wyciągając dłoń z kluczem.

– Będzie można tu coś kupić?

Staram się nie pokazać po sobie, jak to pytanie mnie stresuje. Wchodzę w galerię zdjęć na telefonie i prezentuję mu kilka prac artystów, którzy nie pojawili się rano. Napisałam im wiadomości na komunikatorze, ale nikt nie odpowiedział. Wychodzi na to, że są rozchwytywani i mają gdzieś mnie i moją raczkującą galerię.

Mężczyzna marszczy brwi.

– Co pan czuje, patrząc na to dzieło? – pytam z zachwytem. Obraz przedstawia postać z zamkniętymi oczami. Wokół latają różne przedmioty, ale ona zdaje się nie zwracać na nie uwagi.

– Tak wygląda moje życie, jak nie wypiję rano kawy – odpowiada.

Powstrzymuję śmiech.

– To wschodzący artysta. Obraz nosi tytuł *Na przestrzeni minut* i ma krytykować gonitwę współczesnego człowieka.

Facet przyciąga telefon – razem z moją dłonią – bliżej oczu. Czuję intensywne mrowienie w miejscu, gdzie mnie dotyka.

Mimowolnie wstrzymuję oddech.

– Co takiego? Ten tutaj przecież śpi – stwierdza, wciąż przytrzymując moją rękę.

Zabieram ją i zwięzam oczy w szparki, bo ten impertynencki ton sprawia, że się denerwuję.

– To już trzeba porozmawiać z artystą – rzucam na odczesnego.

Mężczyzna przygląda mi się przenikliwym wzrokiem, a potem patrzy jeszcze raz na szyld.

– Ile pani planuje dostać za to dzieło?

– Jest pan zainteresowany kupnem?

– Być może.

– Muszę jeszcze omówić to z autorem.

Przygląda mi się wzrokiem, w którym czai się nutka politowania.

– No i co dalej? – pyta.

Mrugam zdezorientowana. Czuję się przytłoczona mandatem, problemami z zamkiem, cateringiem i tym, że zaraz przyjdą tu ludzie.

– Da mi pani swoją wizytówkę? – pyta. – Jeśli chce pani zatrzymać klienta... – Mam wrażenie, że w jakiś sposób się wywyższa. Jakby wiedział lepiej, jak prowadzić galerię. W tym świetnie skrojonym garniturze wygląda na biznesmena, który obraca sześcicyfrowymi kwotami, ale równie dobrze może być dobrym aktorem.

– Nie mam jeszcze wizytówek. – Uśmiecham się przeproszająco. Drukarnia zapomniała o moim zamówieniu, dostanę je dopiero pojutrze. – Jeśli naprawdę chce pan kupić ten obraz, mogę podać panu numer do galerii.

Facet wygląda jak zwycięzca. W ogóle nie rozumiem jego reakcji.

– Zastanowię się – mruży, patrząc na roleksa, znad którego odsunął mankiet. A potem kiwa mi głową i dodaje: – Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiadam, śledząc go wzrokiem. – Dziękuję za pomoc.

Zaciskam spoconą dłoń na odłamku klucza. Nieznajomy odwraca się jeszcze i kręci głową z niedowierzaniem, bo w moim tonie jest więcej sarkazmu niż wdzięczności. To było naprawdę dziwne spotkanie. Niby mężczyzna zachował się uprzejmie, próbował wygrać z upartym zamkiem w drzwiach, ale wysyłał takie aroganckie fale. Nawet nie wiem, jak ma na imię.

Piętnaście minut później pojawiają się pierwsi artyści. Niektórzy wzięli ze sobą swoje obrazy. Rozstawiamy je przed galerią, bo nie ma innego wyjścia. Ślusarz będzie dopiero za dwie godziny. Okazuje się, że to sami nieznani i początkujący malarze. Nie wszyscy jeszcze skończyli studia. Niektórzy nawet ich nie rozpoczęli. Widzę też kilka osób w obdartych ubraniach, które przyszły na darmową wyzerkę. Nie mam serca ich wyganiać, choć mnie objadają, a na pewno niczego nie kupią.

Chłopak z ciemnymi włosami skręcającymi się poniżej linii uszu prezentuje obraz abstrakcyjny w tonacji bieli i zieleni. Kiedy nie widzi w moich oczach entuzjazmu, zaczyna mnie błagać. Rynek sztuki tak nie działa. Ale ponieważ jestem miękka i sama zaczynam stawiać pierwsze kroki w biznesie, postanawiam dać mu szansę. Czuję w kościach, że będę tego żałować, jednak i tak mam niewielki wybór. Obok chłopaka stoi fotografka specjalizująca się w portretach o sensualnym wydźwięku. Nie planowałam w ogóle wystawiać fotografii, ale teraz nie mam wyjścia.

Ślusarz przyjeżdża dopiero po szóstej. To miły pan koło czterdziestki w szarym kombinezonie. Przepraszam go na wstępie, bo zdaję sobie sprawę, że byłam dziś prawdziwym wrzodem na dupie. Dzwoniłam do niego chyba z piętnaście razy. Natychmiast bierze się do roboty. Rozstawia skrzynkę z narzędziami i kuca przy zamku.

– Ma pani krzepę – komentuje, widząc odłamany kawałek klucza w środku.

– To nie ja. Pewien facet zatrzymał się, żeby mi pomóc.

Mężczyzna śmieje się i kręci z niedowierzaniem głową. Ja też wybucham nerwowym śmiechem, bo co mi zostało. Częstouję go muffinką.

Wracam myślami do przystojniaka w garniturze. Mimo wolnie się zastanawiam, czy odwiedzi mnie w galerii. Raczej nie był zainteresowany kupnem tego obrazu na serio. Jak się dłużej nad tym zastanawiam, wydaje mi się dziwne, że tak wypytywał o cenę, mimo że praca wyraźnie nie przypadła mu do gustu.

Spędziłam prawie cały dzień na schodach pożarowych, pilnując dobytku. Nogi bolą mnie od biegania na szpilach, w rajstopach poszło mi oczko. Jeszcze muszę wszystko posprzątać. Ten dzień to jakaś porażka.

Kiedy w końcu zamek zostaje wymieniony, otwieram drzwi i wchodzę do środka. Zapalam światło. Pachnie tu farbą i zieje pustką. Widok gołych ścian sprawia, że ściska mnie w żołądku. Nic mi się nie udało, wyszło zupełnie odwrotnie. Mam ochotę paść na kolana i rozryczeć się jak małe dziecko.

Jednak tego nie robię. Przemierzam pomieszczenie, wodząc dłonią po delikatnej powierzchni białej ściany. Zrzucam szpilki i stawiam stopy na niedawno cyklinowanym parkiecie.

Galeria nie jest duża. To zaledwie czterdzieści metrów kwadratowych, a z remontem kosztowało tyle co cały dom. No ale punkt jest dobry. Prawie samo centrum, elegancka i prestiżowa okolica. Patrząc przez gigantyczne okna na tonące w zmierzchu miasto. Zaczynam się jeszcze bardziej denerwować, bo to nie jest branża, w której można liczyć na klienta z ulicy. Chyba zwariowałam. Może trzeba było najpierw wynająć przestrzeń i zobaczyć, jak idzie interes. A ja rzuciłam się na głęboką wodę – i chyba właśnie się topię.

– No i pięknie! – Słyszę zachwycony kobiecy głos za moimi plecami.

Odwracam się gwałtownie. Blondynka z włosami związanymi w wysoką kitkę wchodzi do środka. Nad prawym uchem ma wygolony fragment. Jej skóra jest tak jasna jak płatki śniegu. Niemal biała grzywka spływa ponad linię jasnych brwi. Kobieta pociera dłonią fartuch z logo kwaciarni znajdującej się w sąsiedniej kamienicy. Oprócz tego ma na sobie biały T-shirt, podarte džinsy i trampki. Nie wygląda jak ktoś, kto przyszedł na uroczyste otwarcie galerii.

– Jestem Iben – przedstawia się, wyciągając dłoń. Kiedy widzi, że mam szklanki w oczach, jej niebieskie spojrzenie wypełnia troska.

– Holly – odpowiadam drżącym głosem, ujmując jej rękę.

– Co jest?

– Zepsuł mi się zamek w drzwiach, więc wielkie otwarcie galerii okazało się niewypałem – mamroczę, błędząc rozbieranym wzrokiem po miejscu, o którym marzyłam przez ostatnie lata.

– Skarbie – odpowiada – to dopiero pierwszy dzień. Nam też kiedyś wydarzyło się coś podobnego.

– Partnerzy, z którymi miałam zamiar pracować, się nie pojawili, a catering dla potencjalnych klientów zjadły przypadkowe osoby – ciągnę z narastającą rozpaczą. – Zainwestowałam w to otwarcie ponad dwa tysiące dolarów.

Iben błednie jeszcze bardziej.

– No ale masz przecież obrazy – mówi, oglądając się za siebie. – Wnieśmy je.

– Dziękuję.

Pomaga mi przywiesić sześć obrazów i kilka wydrukowanych na płótnie zdjęć. Na białych ścianach wyglądają dużo lepiej niż oparte o mur jak na bazarze.

– Czemu mi pomagasz? – pytam.

Iben wzrusza ramionami, po czym analizuje wzrokiem dzieła. Właśnie wniosła trzy ostatnie butelki wina, a ja wyrzucam śmieci do kubła.

– Liczę na kieliszek wina – odpowiada z uśmiechem.

– Przepraszam. – Natychmiast nalewam nam alkohol. Stukamy się szkłem z uśmiechem.

– Z drobnymi przeszkodami, ale jednak została otwarta. Gratuluję – mówi.

– Dzięki.

Przyglądam się wnętrzu z zadowoleniem. Czuję się trochę lepiej niż dwie godziny temu. Faktycznie zaczyna to wyglądać jak prawdziwa galeria sztuki. Światło było drogie, ale robi robotę. Złociste snopy spływają na obrazy, sprawiając, że są doskonale wyeksponowane. Serce mi rośnie, choć pod skórą przemyka niepokój.

– Jesteś nowa w Nowym Jorku? – Przyjazny głos Iben wyrywa mnie z zadumy.

– Aż tak to widać?

Sąsiadka kiwa głową, mierząc mnie spojrzeniem.

– O co chodzi?

Podchodzi bliżej i zniecka trąca mnie ramieniem.

– Przepraszam – mówię, na co Iben wybucha śmiechem. –

Ej! – wołam.

– Kanadyjczycy zawsze przepraszają.

– Bo to kulturalnie. Poza tym jestem z Alaski.

– Słyszałam, jak przepraszalaś ślusarza za to, że do niego wydzwaniałaś. – Patrzy na mnie niczym chochlik. Pewnie wyobraża mi się teraz w zamieci opatuloną niedźwiedzim futrem. Tak. Tak często wyglądałam przez ostatnie dwadzieścia kilka lat. Dlatego w Nowym Jorku mi się podoba. Przystojny przechodzień zapyta, czy pomóc z kluczem, a nie wyciągnie strzelbę, bo pomylił cię z niedźwiedziem. I nie muszę martwić się o zamarznięte rury, kiedy zapomnę dorzucić do pieca.

Uśmiecham się w odpowiedzi. Otwieram ostatnie nie-naruszone pudełko z przekąskami i podaję nowej znajomej. Z ochotą chwyta koreczek z oliwką. Wzdycham, patrząc ponownie na zdobiące ściany obrazy.

– Masz rację. Jestem tu nowa i zupełnie sama – wyznaję. – Kiedy zmarła moja babcia, postanowiłam wykorzystać spadek i spełnić marzenie o galerii w Nowym Jorku.

– A ten facet, co był z tobą rano?

Wspomnienie atrakcyjnego aroganta podsyca we mnie płomień irytacji.

– To był tylko przypadkowy przechodzień, który chciał mi pomóc z kluczem.

– Przystojny – mówi Iden.

– Chyba gdzieś tu pracuje. Wyglądał, jakby szedł do pracy.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam w okolicy.

Nie mam na to żadnej odpowiedzi, więc po prostu wzruszam ramionami. Zastanawiam się czy jutro też będzie tędy przechodzić.

– Jesteś zadowolona z biznesu? – Wskazuję brodą szyld kwiaciarni.

– W miarę. Utarg może nie jest wystrzałowy, ale robię to, co chcę. Poza tym to miłe i kulturalne miejsce.

Uśmiecham się w odpowiedzi.

– Wcześniej w tym lokalu – pokazuje smukłym palcem w dół – było minikasyno. Kręciły się tu podejrzane typki. Cieszę się, że teraz ty będziesz tu działać.

– Ach, o tym sprzedawca zapomniał wspomnieć. Mam nadzieję, że nikt nie przyjdzie do mnie po haracz.

Iben wybucha śmiechem i radzi, żebyśmy się nie martwiła.

– Tu jest cudownie – stwierdza, przechodząc z kieliszkiem na drugą stronę galerii. – Obiecuję, że coś od ciebie kupię... – Nachyla się do napisanej na skrawku papieru ceny w prawym rogu. – Jak tylko trochę się odkuję.

– Nie ma presji. – Macham ręką.

– Zobaczysz, że za miesiąc będziesz się kąpać w wannie pełnej dolarów.

Parskam śmiechem, rozbawiona tą wizją.

– Obyś miała rację. – Dolewam jej wina do kieliszka i po raz kolejny omiatam wzrokiem wnętrze, które symbolizuje trzy miesiące ciężkiej harówki. Większości prac próbowałam sprostać sama, żeby zaoszczędzić. Dosłownie czuję, jak trzeszczą mi kręgi w kręgosłupie, bo jeszcze wczoraj kleiłam listwy maskujące.

– Z której części Alaski pochodzisz? – pyta Iben.

– Fairbanks.

– Wow. Macie tam zorze polarne, prawda?

Kiwam głową.

– Łosie też. I podobno Wielką Stopę. Choć turyści mogli się pomylić i wziąć za nią właściciela klubu sportowego. Ma prawie dwa metry i często chodzi polować.

– Zawsze marzyłam, żeby je zobaczyć. Kiedyś, jak byłam u babci w Szwecji, widziałam zorzę.

– Załatwione – mówię, dopijając wino. – Zimą możemy się wybrać do Fairbanks na polowanie.

– Na polowanie?

– No. Podczas polowania często widać zorze.

Iben otwiera szeroko oczy ze zdumienia, na co wybucham śmiechem.

– Zapolujemy na Wielką Stopę! – Wciąż się śmieję, podczas gdy na twarzy mojej nowej znajomej odmalowuje się przerażenie.

– Żartowałam – uspokajam ją. – Turyści mówią o polowaniu na zorze. Dziwię się, że w Szwecji nie polujecie.

– Och, ja wychowałam się w Nowym Jorku. W Szwecji byłam dwa razy, dawno temu, kiedy babcia jeszcze żyła.

Dostrzegam niewypowiedzianą tęsknotę w niebieskich oczach Iben, dlatego uśmiecham się i dodaję:

– Nie martw się, maleńka. Upolujemy jakąś zorzę.

Tak tylko gadam, bo nie sądzę, żeby taka podróż się udała. Nie mam ochoty wracać w rodzinne rejony, zamykając drzwi domu babci, zamknęłam za sobą rozdział życia, do którego nie chcę nigdy wracać. Może kiedyś pojedę jeszcze do Fairbanks, ale na pewno nie tej zimy. Próbuję być po prostu miłą dla nowej znajomej.

Iben jest wyraźnie ucieszona moją propozycją. Podskakuje i klaszcze w dłonie jak mała dziewczynka. Cholera. To chyba jednak nie okaże się kurtuazyjna propozycja bez pokrycia. Kopię się w głowie za te nieszczerze słowa. No cóż, mam za swoje.

Dziewczyna, nie przestając się uśmiechać, odnosi kielišek na zaplecze. Kiedy wraca, jej oczy iskrzą. Łapie mnie za dłonie i uśmiecha się ze wzruszeniem.

– Czuję, że tego właśnie potrzebuję!

Podwójna cholera. Nie musimy przecież lecieć akurat do Fairbanks. Możemy wybrać inne miasteczko.

– A więc ustalone.

Iben przytula mnie na pożegnanie i opuszcza galerię szybkim krokiem. Macha do mnie jeszcze z zewnątrz. Jest tak zaafierowana wizją podróży, że prawie wchodzi pod koła jakiegoś samochodu. Facet w okularach wygraża pięścią i wyraźnie ją ochrzania. Jednak gdy spogląda w twarz Iben, trochę spuszcza z tonu.

* * *





Kiedy wracam do domu, czuję się, jakby przejechał po mnie czołg. Robię sobie kąpiel z mnóstwem piany i na drewnianym stolku ustawiam laptopa.

Odpalam przeglądarkę, po czym wchodzę na stronę lokalnego festiwalu filmów niezależnych. Zabawa polega na tym, że na platformie ogląda się głównie krótkie etiudy, a następnie się głosuje. Organizatorzy na tej podstawie wyłaniają zwycięzców w danej kategorii. Oglądanie krótkich form bardzo mnie relaksuje. Studiowałam filmoznawstwo i to mój konik, zaraz obok sztuki.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ




**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca